

Są jednak diamenty w popiele

Bogdan Sobieszek: - W związku z pańską retrospektywą podczas festiwalu Transatlantyk w Łodzi chciałbym namówić pana na coś w rodzaju reżyserskiego wprowadzenia do pańskiej twórczości. W przyszłym roku minie 40 lat od pełnometrażowego debiutu fabularnego („Wolne chwile”).

Andrzej Barański: - Te 40 lat jest w ciekawej klamrze: otwierają je i zamykają dwa filmy, które nie zostały przyjęte na Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. „Wolnych chwil” nie pokazano... właściwie nigdy nie zaistniały. Szkoda mi tego filmu - „poważnej komedii”, jak trafnie nazwał go od-twórca głównej roli Krzysztof Majchrzak. W wypadku „Księstwa” determinacja komisji musiała być wielka, jeśli nie dopuściła do festiwalu filmu, który już wcześniej zaproszono do konkursu głównego w Karlovych Varach - nawet względy grzecznościowe nie zdołały złagodzić boskiego gniewu selekcjonerów gdyńskich. No, ale w ten sposób mam piękną klamrę - męczeńską. Przed „Wolnymi chwilami” nakręciłem film telewizyjny „W domu”, bardzo ważny dla mnie. Od niego wszystko się zaczęło, czyli filmy dziejące się w małych miasteczkach i opowiadające o ich mieszkańcach.

Realizuje pan dokumenty, animacje, filmy fabularne. Co decyduje o wyborze formy - temat, bu-dżet, inne okoliczności?

- Na ogół forma przychodzi razem z tematem. Bywa że pojawia się dylemat: film aktorski czy animowany. Tu zawsze coś się zyskuje, coś traci. Wybierając animację, dostajemy oryginalny obraz, ale nie mamy twarzy aktorów, a to jest wielka strata. Kiedy jednocześnie pokazywałem mój film fabularny i kilka filmów krótkich, bywali się widzowie, którzy wyrażali żal, że w długich filmach nie ma mnie tego z krótkich. Fabuła powinna być jednorodna, taka sama na końcu, jak była na początku. Wszelkie prze-lamania raczej się nie opłacają. Jeśli coś takiego widzę w filmie fabularnym, myślę że autor skapitulował, wprowadził zmianę, bo już nie był w stanie doprowadzić filmu do końca. Nawet filmy takiego arcydzieła jak Godard, w których przesadził w łączeniu różnych form, nie wytrzymały próby czasu, nie ma ich - jest kupa gruzów. Natomiast w krótkim metrażu zmienność formy ożywia film i wzmacnia wymowę. Film krótki jest do figlowania, zachęca do poszukiwań, eksperymentów. Ale wtedy trudno go zaklasyfikować. Mam w dorobku kilka ewidentnych dokumentów, w których używałem też animacji, i teraz figurują jako filmy animowane.

Krytycy często podkreślają osobność pańskiego kina. Co pan o tym myśli? Co dla pana jest najważniejsze w tym, co pan robi?

- Kiedy skończyłem Szkołę Filmową w Łodzi, już wiedziałem, jakie filmy chcę tworzyć: pochodzę z małego miasteczka i to będzie mój temat. Było trochę tak, jakbym postanowił zostać księdzem. Mia-steczko to przecież spore ograniczenie, ale jak się w nie wierzy, dostrzega się, że jednak są diamenty w popiele. Czuję też konieczność opowiedzenia o tym świecie, o jego ludziach. Zwłaszcza, że był to świat już ginący. Dzisiejsza mała miejscowość jest mało podobna do mojego miasteczka z lat sześć-dziesiątych, siedemdziesiątych. Dlatego, realizując filmy, musiałem wykazać się szczególną dbałością o jego obraz, o przedstawienie strony materialnej bytowania mieszkańców. Zwracałem też uwagę, żeby do realiów małej miejscowości nie sprowadzać tematyki filmów wielkomijskich. Z tego powodu ograniczałem akcję. Zamiast tego było życie, takie zwyczajne, od rana do wieczora, od narodzin do śmierci. Dlatego mój ścisły kanon to pierwszych pięć filmów, czyli małe miasteczko w czasach PRL: „W domu”, „Niech cię odleci mara”, „Kobieta z prowincji”, „Kramarz”, „Nad rzeką, której nie ma”. Za-uważyłem, że nawet krytycy już nie pamiętają, że te filmy

stanowią pewną całość. Jestem z niej dumny. Nikt nie zrobił takiej panoramy „małomiasteczkowej”. Może jedynie w kinematografii włoskiej... Teraz te tytuły istnieją jako odrębne byty: „W domu” jest wybitnym evergreenem – od ponad 40 lat jest ciągle pokazywany przez telewizję. O „Kobiecie z prowincji” pamiętają krytycy. „Nad rzeką, której nie ma” to film kultowy byłej młodzieży. „Kramarz” to Roman Kłosowski. Dziwi mnie, że kiedy mówi się o polskich filmach historycznych, zapomina się o filmie „Niech cię odleci mara”. Trudno o bardziej wiarygodne świadectwo czasu wielkiej wymiany pieniędzy i końca dotychczasowych elit małego miasteczka.

Ciąg dalszy wywiadu można przeczytać w czerwcowym numerze „Kalejdoskopu”, który jest dostępny w kioskach Ruchu, Kolportera, Garmond-Press, w salonach Empik, recepcji Łódzkiego Domu Kultury oraz w prenumeracie:

<https://prenumerata.ruch.com.pl/prenumerata-kalejdoskop-magazyn-kulturalny-lodzi-i-wojewodztwa-lodzkiego>